Rolnicy polscy, mali i wielcy — łączcie się!

Rok II. Kraków, dnia 13. Grudnia 1908 r. Nr. 50.



TYGODNIK ILUSTROWANY, ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU ROLNIKÓW.

Wychodzi na niedzielę.

Przedpłata: Rocznie 4 korony, półrocznie 2 korony. Do Ameryki 2 dolary, do Niemiec 6 koron. **Prenumeratę** przyjmuje **wyłącznie** Biuro dzienników J. Hopcasa i A. Salomonowej w Krakowie, ul. Sławkowska. — **Ogłoszenia** należy nadsyłać do p. Bolesława Jankowskiego w Krakowie, Drukarnia W. Korneckiego i K. Wojnara, Rynek główny. — Cena ogłoszeń 20 halerzy za wiersz czteroszpaltowy. — Adres na listy do Redakcyi i Administracyi (z wyjątkiem listów o prenumeratę): Drukarnia W. Korneckiego i K. Wojnara w Krakowie, Rynek główny L. 8, I. piętro. — Numer pojedynczy 10 halerzy.

Czy będzie wojna?

Rząd o mobilizacyi.

Ustawicznie pojawiają się pogłoski o mobilizacyi większej ilości wojsk austryackich. Wobec tego rząd wydał przez Biuro korespondencyjne w Wiedniu takie obwieszczenie:

W ubiegłym miesiącu zarząd wojskowy otrzymał cesarskie upoważnienie, ażeby w myśl ustawy z roku 1888 zatrzymał ową część rezerwistów zapasowych, która jest koniecznie potrzebna do podwyższenia stanu pokojowego wojsk, dyslokowanych w Bośni i Hercegowinie i w południowej Dalmacyi. Zarząd wojskowy, starając się o ile możności o uwzględnienie żywotnych interesów ludności, postanowił w swoim czasie użyć do tego celu tylko żołnierzy, znajdujących się już w czynnej służbie rzeczonej kategoryi, to jest tylko to powołanie, czyli klasę, która jest obecnie w trzecim roku służby, oraz najmłodszą klasę rezerwy zapasowej, która właśnie ukończyła ośmiotygodniową szkołę ćwiczeń. Tych tedy żołnierzy postanowił zarząd wojskowy zatrzymać. — Nie powołano zaś ani jednego rezerwisty, lub rezerwisty zapasowego, który obecnie znajduje się w cywilnym stanie.

Przyczyny podwyższenia stanu pokojowego są dostatecznie znane. Wyczerpująca i w obecnej zimie jeszcze bardziej niż zwykle wytężająca służba bezpieczeństwa na granicy południowo-wschodniej, wywołała konieczność podniesienia stanu wojska. Ponieważ jednakże, jak już powiedziano, zatrzymana została tylko część rezerwy i rezerwy zapasowej, a cyfry ta nie wystarcza zupełnie do

uzyskania pożądanego podwyższenia stanu, skutkiem tego w wykonaniu zapowiedzianego w swoim czasie podwyższenia stanu, równocześnie z przewozem rezerwistów zapasowych na południowy wschód i owych wyćwiczonych rekrutów, odbywa się teraz wzmocnienie załogi o kilka batalionów i bateryj górskich. Przez to wszystkie owe zapowiedziane zarządzenia wojskowe będą ukończone, które musiano poczynić w celu bezpieczeństwa nowo przyłączonych granic.

Z tego wszystkiego wynika, że o mobilizacyi absolutnie mowy być nie może, ponieważ do niej potrzebne by było powołanie rezerwistów, a w rzeczywistości ani jednego rezerwisty nie powołano. Tak samo okazuje się stąd bezpodstawność wiadomości kilku dzienników zagranicznych, jakoby Austro-Węgry całe korpusy rzuciły na granicę.

O wojnie na wiosnę mówią wiele w Wiedniu między politykami, nie wiadomo jednak, czy będzie. Zdaje się, że państewka bałkańskie, jak Serbia i Czarnogóra nie odważą się jednak zaczepić Austryę, tak, aby aż musiała dobyć przeciw nim broni. Położenie, w jakiem znalazła się monarchia, pokazało się jednak bardzo nieprzyjemne. Austro-Węgry nie mają żadnego sprzymierzeńca prócz Niemiec, inne zaś państwa są przeciw nim i domagają się, aby zwołano konferencyę europejską w sprawie aneksyi Bośni i Hercegowiny, Austrya zaś nie chce. Teraz pokazuje się, że bar. Aehrenthal, minister spraw zagranicznych, nie poinformował dobrze delegacyj, mówiąc, że wszystkie państwa były powiadomione o mającej nastąpić aneksyi. Wszystkie państwa temu teraz zaprzeczają, a już żadne nie przyznaje, jako udzieliło jakiejkolwiek zgody na plany bar. Aehrenthala. Nie tęgo popisało się ministerstwo spraw zagranicznych, na sam jubileusz cesarza doprowadziło do niewesołego dla Austryi położenia i nagromadziło wiele chmur.

Ostatniemi dniami znowu Rosya miała podobno oświadczyć przez usta swego ministra spraw zagranicznych, że na aneksyę się nie godzi i żąda konferencyi. Że zaś Włochy porozumiały się z Rosyą, Anglią i Francyą, więc Austrya została się odosobniona, mając przy sobie tylko Niemcy.

Położenie grozi wojną, gdyż na konferencyę europejską Austrya stanowczo zgodzić się nie chce. Inne mocarstwa domagają się tego — zatarg przybiera coraz ostrzejszy charakter. Poza Serbią zaś i Czarnogórą stoi Anglia, która wspiera je pieniądzmi, tak, że mają coraz więcej funduszów na uzbrojenia. Istnieje obawa, że wkrótce mogą zacząć się napaści band serbskich na granicy Bośni i Hercegowiny, oraz, jak już pisaliśmy, próby wywołania powstania. Wtedy musiałaby Austrya zacząć wojnę z Serbią i Czarnogórą. Na ten też wypadek przygotowuje się teraz wojska, wysyłane do Bośni.

Co chwila nadchodzą też wiadomości, że starcia się już zaczęły. Dotychczas niema w tem ani słowa prawdy. Tak np. opowiadano po Lwowie, żę jedna kompania 80 pułku piechoty została wyciętą przez bandy serbskie. Okazało się to kłamstwem. Wiele innych podobnych zajść podawały dzienniki, ale na szczęście żadne się nie sprawdziło. Nie wynika stąd, aby lada dzień nie miała nadejść inna podobna wiadomość, tym razem prawdziwa. Położenie na granicy jest tak naprężone, że dość jednej iskierki, aby starcia wybuchnęły.

Listy od rolników.

Rocznica listopadowa w Modlnicy.

Otrzymawszy od jednego dzielnego obywatela i gorliwego pracownika na niwie ludowej wiadomość o wielkiej uroczystości włościańskiej, jaka się miała odbyć w rocznicę powstania listopadowego na ziemi krakowskiej w wiosce Modlicy, sławnej z legend o św. Wojciechu, który tamże ongiś miał przez pewien czas przebywać i odprawiać nabożeństwa — wybrałem się w drogę. Przybywszy do Modlnicy razem z p. K., który mnie z Krakowa na swój wózek zabrał, rozpoczęliśmy miłą pogawędkę.

— Cieszę się — mówił p. K. — ludem zacnym, poczciwym, cieszę się i pragnąłbym szczerze aby przy wspólnej pracy zbudować dla niego jak najlepszą przyszłość.

Długo, długo opowiadał mi też czcigodny gospodarz o dzielnych włościanach Sułce, Kostosiu, Wojdyle, Gałczyku, Słaboniu, Jarzeczce i wielu innych, których nazwisk sobie nie przypominam. a którzy od pracy zbiorowej, od współdziałania dworu z chatą nigdy się nie usuwali.

W sali szkolnej, w której poczyniono przygotowania do przedstawienia, ludu jak nabił, a wśród niego zauważyć można liczną inteligencyę, kilku księży i właścicieli tutejszego dworu, p. Konopków.

Podziwiam wspaniale urządzoną scenę,

— Ale to wszystko ślicznie urządziliście — powiadam do jednego z tamtejszych włościan.

— Albo my to sami; bez pomocy zacnego nauczyciela, i p, Z. Konopki nic byśmy nie zrobili.

Chciałem jeszczcze coś zapytać, gdy wtem kurtyna się podniosła i zabrał głos przewodniczący tutejszego Kółka chłop-rolnik p. Sułka i ślicznem swojem przemówieniem powitał zebranych.

Po dłuższem przemówieniu p. Flisa, w którem skreślił dosadny obraz wypadków dziejowych z powstania listopadowego, i prześlicznem odśpiewaniu przez chór włościański kilku pieśni narodowych, odegrano: „Dziesiąty pawilon“, w czem brali udział: Wojciech Kostaś, Jan Wojdyła, Stanisław Gałczyk i Kazimierz Pyzioł, którzy wybornie wywiązali się z zadania. Poczem zabrał głos p. Magiera, profesor z Krakowa i w pięknej swojej przemowie wskazał iż tylko własną pracą, łącznemi siłami, możemy dojść do odrodzenia ojczyzny.

* * *

W sali Kółka rolniczego usiadło za stołem kilkudziesięciu włościan a popijając herbatę gwarzą sobie wesoło o tem i owem.

— Mamy czytelnię, mamy chór włościański, a niedawno założyliśmy Kółko rolnicze i teatr, nie mamy jednak dotąd własnego domu lecz zmuszeni jesteśmy lokal dzierżawić — powiada mi jeden z gospodarzy.

Chciałem coś powiedzieć, gdy wtem ruszył ktoś klamką i do wnętrza wszedł dziedzic razem z księdzem proboszczem a usiadłszy za stołem rozpoczął z gospodarzami pogawędkę.

— Wiem iż bez własnego domu — powiada p. Konopka — jest wam jakoś nie wygodnie, da Bóg jednak z wiosną skoro wypalę odpowiednią ilość cegły to pomyślimy o zbudowaniu domu własnego!

Na miłej pogawędce czas mijał szybko i już późną nocą opuściłem miłą wioskę, żegnając serdecznie zacnych gospodarzy, p. Konopków i dzielnego nauczyciela p. Flisa. Siedząc w wagonie rozmyślałem długo, długo, o tej miłej wiosce, gdzie stosunki tak pięknie się ułożyły, gdzie dwór, szkoła i chatka stanowią jedną gromadę.

Myślałem, a przed oczyma stanęły mi i inne wioski, tam gdzie lud patrzy jeszcze z nieufnością na dwór, tam gdzie o pracy zbiorowej ani mowy nie ma.

Westchnąłem i na myśl przyszły mi słowa poetki Maryi Konopnickiej:

— O słonko! świeć jaśniej, bo ziemia zakrzepła,
Rozbudzić się we śnie nie może...
O więcej daj światła! i więcej daj ciepła!
I rosy ożywczej o Boże!...

Jan Kaczak,
chłop-rolnik z Dąbrowicy.

Co słychać w kraju?

Parlament wiedeński zebrał się i obraduje, utykając na każdym kroku. Obawiano się, że nie będzie mógł wcale obradować, lecz na razie przeważył u posłów strach przed odpowiedzialnością, do jakiej by ich pociągnęli wyborcy, a przedewszystkiem, jak się zdaje, strach przed ponowną walką o mandaty, gdyby parlament rozwiązano i gdyby nowe wybory się odbywały.

Strach ten podwójny popycha parlament do niebywałego istotnie poniżenia. Wiadomo, że największą przeszkodą w porządnem obradowaniu poprzedniego parlamentu był zły regulamin obrad, który pozwalał byle grupce posłów urządzić obstrukcyę i unieruchomić cały parlament. Na zmianę regulaminu nie chcieli się zgodzić radykalni krzykacze, gdyż nie chcieli wyzbywać się „prawa do obstrukcyi". Gdy zaś który prezydent Izby chciał surowo stosować regulamin, to socyaliści, radykali niemieccy i inni krzykacze podnosili wielki gwałt, że „tamuje się wolność słowa". I nie można było stosować regulaminu, tak jak było trzeba.

Teraźniejszy parlament jest zupełnie inny. Tutaj niemieccy i czescy posłowie „ludowi", którzy tak głośno krzyczą, że „stoją na straży swobód parlamentarnych", nie sprzeciwiają się wcale, gdy prezydent wprost gwałci regulamin, grozi posłom próbującym obstrukcyi, że będą zaskarżeni o gwałt publiczny itd. Wiedzą bowiem, że gdyby podnieśli wrzawę, parlament byłby rozwiązany, a im o mandaty przedewszystkiem idzie. Niektórzy, w szczególności Koło Polskie było zawsze przeciw obstrukcyi, więc i teraz może nie podnosić głosu w jej obronie, i tacy posłowie działają istotnie w interesie ludu, bo pragną, aby parlament był jak najlepiej zdolny do pracy. Wielu innym jednak zamyka usta tylko strach, że musieliby pożegnać się z mandatem.

Obrady toczą się nad prowizoryum budżetowem, które gabinet urzędniczy naturalnie otrzyma. Dawno nie było parlamentu tak powolnego rządowi, jakimkolwiek by ten rząd był.

Nie rozbiły więc Rady państwa zarządzenia stanu sądów doraźnych w Pradze, jak się obawiano. Sądy doraźne, aczkolwiek jeszcze nikogo nie skazały, samą groźbą dokonały uspokojenia. Mają też być wkrótce zniesione, choć potem mogą znowu rozpocząć się awantury.

Rolnicy łączą się.

Towarzystwo Rolnicze Okręgowe w Krakowie wysłało do swych członków następującą odezwę, którą jako ważną dla rolników przytaczamy. Brzmi ona jak następuje:

Jeżeli który stan, to właśnie stan rolniczy, powinien wobec najrozmaitszych niepowodzeń i klęsk, jakie go dotykają, skupiać się jak najściślej między sobą i organizować. Nie tylko dla dalszego rozwoju ale wprost dla utrzymania swego bytu muszą rolnicy organizować się jak najspieszniej i jak najsilniej. Zadaniu temu najlepiej odpowiada Towarzystwo rolnicze, gdyż ono, łącząc w sobie wszystkich przedstawicieli wszystkich warstw rolniczych, traktuje sprawy ściśle przedmiotowo i znaleźć w niem można oprócz korzyści moralnych, także i korzyści materyalne.

Niestety — nasze Towarzystwo rolnicze prosperuje dość słabo — a to dla nader szczupłej ilości członków. Z tego powodu pomoc materyalna, jakie udzielać ono może, nie jest dość wydatną i ograniczać się musi: do popierania hodowli inwentarza; do udzielania subwencyi przy zakładaniu wzorowych gnojowni; do zakładania pod nader korzystnymi warunkami stacyi buhajów; do dania członkom swym możności praktycznego korzystania z doświadczeń i prób c. k. Zakładu doświadczalnego przy Studyum rolniczem; wreszcie do korzystnego pośredniczenia przy zakupnie produktów i narzędzi rolniczych, oraz węgla itp.

Oprócz wymienionych powyżej korzyści Wydział, ufny w poparcie P. T. Członków, postarał się w ostatnich czasach jeszcze o inne, a mianowicie: I. Zaprowadził udzielanie bezpłatnej pomocy prawnej członkom Towarzystwa pod następującymi warunkami: 1) sama porada, przegląd dokumentów i papierów, oraz wydanie opinii o sprawie są zawsze bezpłatne; 2) syndyk w razie wygrania sprawy otrzymuje wyłącznie tylko koszta, przyznane mu za zastępstwo przez c. k. Sąd; 3) w razie przegrania sprawy, strona zobowiązaną jest zwrócić syndykowi koszta za stemple; 4) syndykowi przysługuje prawo odmówienia zastępstwa prawnego jeżeli uzna sprawę za nieuczciwą, lub nieprzedstawiającą widoków powodzenia; 5) sprawy karne są zasadniczo wyłączone, — pozostawia się jednak uznaniu syndyka przyjęcie ich w poszczególnym wypadku za osobną umową.

Wydział poczynił również energiczne starania w Komitecie o zapewnienie członkom porady w spra-

wach budownictwa wiejskiego, oraz organizuje bezpłatne fachowe porady w następujących sprawach: 1) w sprawach czysto rolniczych; 2) hodowli inwentarza; 3) melioracyi rolnej, uprawy łąk i pastwisk; 4) ogrodniczo-sadowniczych; 5) zakupna i użycia maszyn rolniczych; 6) weterynaryi gospodarskiej.

Wobec tak rozwiniętej akcyi Wydział odnosi się z prośbą o pomoc i współdziałanie do wszystkich członków, a mianowicie w tej formie, aby każdy z nich pozyskał Towarzystwu naszemu — i to w czasie jak najbliższym — przynajmniej jednego członka nowego. Od ilości członków bowiem zależy nie tylko stan funduszów własnych Towarzystwa, lecz niemniej i wysokość otrzymywanych przez Towarzystwo subwencyi. Wydział apeluje przeto do wszystkich członków jak najusilniej, ażeby dla dobra sprawy uważać raczyli za swój obowiązek pozyskiwanie nowych członków.

Sekretaryat Towarzystwa prowadzić będzie ewidencyę członków, za których staraniem nowych pozyskano.

Prezes: *Józef Cieślewicz.* Sekretarz: *St. W. Saloni.*

Należy się spodziewać, że odezwa ta wyda jak największy skutek i wielu członków Towarzystwu przysporzy. Wszak dziś już coraz bardziej przekonywują się rolnicy, że w jedności siła!

Co słychać w Polsce?

Pisaliśmy już, że rodacy nasi pod zaborem pruskim, gdy im zakazano obradować na wiecach po polsku, odbywają tak zwane „wiece nieme". Zbiera się paręset lub i parę tysięcy ludzi, którym prezydyum rozdaje kartki z wydrukowanemi rezolucyami, oraz broszurki, jedno i drugie w języku polskim. Następuje chwila przerwy dla skupienia się i rozmyślenia rezolucyj, które równocześnie wywieszają na tablicy, aby je każdy mógł widzieć. Po chwili wszyscy jednomyślnym oklaskiem przyjmują rezolucye przez aklamacyę i wiec rozchodzi się, uchwaliwszy co miał uchwalić, a nie powiedziawszy ani słowa w zakazanym polskim języku!

Pierwsze takie wiece odbywały się w Westfalii, gdzie jest tylu robotników polskich w tamtejszych fabrykach. Otóż teraz policya zaskarżyła przed sąd w Ruhrort p. Sosińskiego, kierownika zjednoczenia robotników polskich, który takie nieme wiece urządzał. Wszyscy czekali z wytężoną ciekawością tej sprawy, gdyż nie wiedziano, jak zachowa się sąd i czy nie dopełni miary prześladowań i niesprawiedliwości, skazując p. Sosińskiego za przekroczenie ustawy o stowarzyszeniach, chociaż przecież po polsku nikt nie mówił, a tylko mówić na wiecach nie wolno.

Sędzia uwolnił p. Sosińskiego od winy i kary. Umotywował zaś wyrok tem, że w ustawie powiedziano tylko, iż nie wolno po polsku mówić lecz o rozdawaniu broszur i klaskaniu niczego nie napisano. Nawet pruskie sądy, tak dla nas stronnicze, musiały tym razem trzymać się prawa, bo słuszność była zbyt widocznie po naszej stronie.

Wściekłość hakatystów jest nie do opisania. Nic dziwnego. Wszak ustawa o zgromadzeniach była ich dziełem. Myśleli, że w ten sposób uniemożliwią wiece, a przez to zapobiegną uświadomieniu narodowemu ludu i popchną naprzód germanizacyę. A tu ci przeklęci Polacy nietylko zbierają się dalej i wiecują, ale jeszcze najoczywiściej kpią sobie z hakatystów, których cała złośliwość na nic się nie przyda wobec wieców niemych! Biedni hakatyści! Niejedną jeszcze gorżką nauczkę dostaną, nim się nakoniec przekonają w swych twardych łbach, że ludu uciemiężyć nie można nawet najsroższą ustawą, jeżeli ten lud ma siły żywotne i chce się bronić. A tego Polacy pod Prusakiem i chcą i to potrafią!

Za to biednego Drzymałę z Podgradowic dalej policya prześladuje. Zaledwie wyszedł z więzienia, za to, że gotował sobie obiad w swoim domu na kołach, a już mu zafantowali jedyną kozę za koszta, wynikłe z powodu przymusowego otwarcia drzwi wozu mieszkalnego i wyniesienia gwałtem piecyka. Donosiliśmy już — że mu zakazano mieć żelazny piecyk we wozie — bez względu na to, że zimą zmarznąć może i przecież łyżkę strawy potrzeba ugotować. Drzymała po zabraniu nowego, wstawił stary piecyk, na którym żona dalej warzyła strawę. Ale nie długo się cieszyli Drzymałowie choćby starym piecykiem. Gdy nakaz wyrzucenia go nie skutkował, zabrano piecyk gwałtem, a za koszta sfantowano kozę żywicielkę! Teraz Drzymałowie będą mieli cierpkie czasy, bo raz im zimno dokuczy, potem brak ciepłej strawy, a wreszcie pozbawieni zostali kropli mleka! A wszystko to dzieje się na ich własnym kawałku ziemi, na którym nie pozwolono na mocy prawa osadniczego wystawić chałupki! Ale niech się pocieszy biedny Drzymała, państwo pruskie zabrało mu jego kozę, ale da mu za to... swoją! Drzymała pewnie znów niedługo pójdzie do kozy! — Bo policya zawzięła się, aby go zniszczyć. Tak wyglądają w dwudziestym wieku stosunki w państwie które opowiada, że jest cywilizowane!

Sprawy emigracyjne.

Co słychać w Kanadzie?

Jedno z pism wychodzących w Filadelfii zamieściło opis krzywd, jakie ponoszą wychodzcy polscy w Kanadzie.

Na stacyi kolejowej w Montrealu w Kanadzie wschodniej — pisze wymienione pismo — stoi grupa wychodźców polskich i ruskich w liczbie około ośmdziesięciu ludzi. Celem ich podróży jest miasto Winnipeg, gdzie zamierzają osiąść jako koloniści. Po angielsku nie rozumieją ani słowa. Z nieporadnych ich min widać, że dopiero przyjechali, że nie znają ani kraju, ani stosunków. Niebawem przystępują do nich dwaj niby panowie i podają się za urzędników emigracyjnych, którym poruczono opiekę nad emigrantami. Wychodźcy nie przypuszczając oszustwa (nie znają bowiem stosunków), z całą otwar-

tością przyznają się dokąd jadą, ile mają pieniędzy, wreszcie podążają za „urzędnikami", a ci prowadzą ich na inną stacyę, pakują do wagonów, pociąg rusza i nieszczęśliwi zamiast do Winnipegu, jadą w przeciwną stronę, do dzikich okolic Ontario. Zapędzeni do ohydnych koszar, głodzeni i bici, prędko przychodzą do przekonania że padli ofiarą oszustwa.

Po kilku tygodniach nad wyraz ciężkiej pracy przy kopaniu rowów, nie otrzymują ani centa wynagrodzenia. Wówczas część tych białych niewolników postanawia ratować się ucieczką z tego strasznego położenia. Rozpoczyna się dzikie polowanie na ludzi, gdyż dozorcy rychło zauwazyli ubytek i puścili się w pogoń. Niektórzy z uciekinierów na odgłos strzałów rewolwerowych zatrzymują się i poddają, inni gnani rozpaczą, wolą śmierć, zdwajają siły i wreszcie wpadają w las, gdzie schronisko łatwe. Wreszcie opadli na siłach, wyczerpani całkowicie i wygłodniali docierają do miasteczka Eugelhardt.

O wzroku błędnym, wystraszeni, unikający ludzi, niebawem zwracają powszechną na siebie uwagę, i dostają się w ręce policyi, która dowiedziawszy się, że uciekli od pracy, pod eskortą postanowiła ich odesłać na miejsce ostatniego ich zajęcia. Wówczas między nieszczęśliwemi ofiarami powstaje formalny bunt: woleliby iść na śmierć, niż wracać do swych katów, Uderzenia pałek policyjnych i lufy rewolwerowe robią wkońcu swoje; robotnicy uspokajają się, lecz poprzednie krzyki zwabiły już tłumy ludzi, którzy stają w obronie nieszczęśliwych. Pod naciskiem szlachetniejszego od tamtej policyi tłumu, sędzia zgadza się na transport zmaltretowanych Polaków do ich miejsc przeznaczenia, ale żąda od każdego z nich 26 dolarów na koszta podróży. Rzecz naturalna, że żaden z tych ludzi niema przy sobie tylu pieniędzy. Wówczas policya zabiera nieszczęśliwym resztki ich mienia i bez centa w kieszeni przemocą transportuje ich do miejsca, gdzie poprzednio pracowali, by mogli sobie zarobić na koszta podróży!

Niemniej smutnym jest drugi przykład. W Toronto, w Kanadzie, wpadają wychodźcy polscy w ręce agenta, który im poleca pomoc biura wyszukującego pracę. Łatwowierni udają się z agentem do tego „biura", gdzie podpisują kontrakt na jakąś pracę. „Dyrektor" tego biura tłumaczy emigrantom, że przez 5 miesięcy kompania będzie ich żywiła, odziewała i da im miejsce do przespania się i za te przysługi kompania odciągnie sobie z wynagrodzenia, jakie za pracę otrzymają. Nie rozumiejąc kontraktu, pisanego po angielsku, tłumaczonego opacznie, nie wiedzą, że podpisem tym sprzedają się w pięciomiesięczną niewolę i cieżką pracę przy budowie kolei. Po pięciu miesiącach wyczerpującej pracy każdy z oszukanych otrzymuje pięć do siedmiu dolarów na drogę i to wszystko, gdyż pracowali li tylko za marną strawę i za barłóg w lesistych puszczach kanadyjskich. Podpisując kontrakt, nie wiedzieli, że zobowiązali się płacić wprost olbrzymie sumy za utrzymanie, które pochłonęło cały niby zarobek. Kompania w myśl kontraktu odciągnęła sobie za utrzymanie robotników i po pięciu miesiącach ciężkiej pracy dano im z łaski na drogę, by inne pijawki wydobyły z nieszczęśliwych resztki sił, jakie im jeszcze zostały.

Nie są to wypadki oderwane — pisze ów dziennik w Filadelfii — ale codziennie napotykane na każdej niemal dużej stacyi kolejowej.

Ostrożnie z Argentyną!

Pismo „Germania" wychodzące w Buenos Ayres ostrzega przed emigracyą do Argentyny. Oto co pisze:

„Z powodu chybionego systemu podatkowego — czytamy w „Germanii" — ceny najpotrzebniejszych artykułów żywnościowych wyśrubowane zostały do niebywałej wysokości, jednocześnie zaś nie zwiększyły się odpowiednio, choćby w przybliżeniu tylko, zarobki, albo inaczej mówiąc dochody klasy pracującej. Z wyjątkiem czasu żniw, kiedy wynagrodzenie robotnika przekracza zwykłą płacę, zarobki są bardzo niskie, szczególnie w stanach położonych w głębi kraju. Wobec tego życie dla klasy robotniczej staje się zadaniem doprawdy coraz trudniejszem i nawet rodziny dawniej dobrze sytuowane, muszą obecnie cierpieć niedostatek lub też bardzo ograniczać swe wydatki. Dawne piękne czasy ustąpiły miejsca przygnębiającemu przesileniu, które wywołane zostało nie tylko przez drożyznę artykułów żywnościowych, lecz również przez wysokie czynsze za mieszkania i nadmiar przybyłych sił roboczych przy zmniejszającem się na nie zapotrzebowaniu.

„Jest także faktem, który nie da się zaprzeczyć, że ceny gruntów są niesłychanie wygórowane i nawet czynsz dzierżawny stał się zbyt wysoki, aby pozbawieni środków koloniści mogli przy największych nawet wysiłkach zdobyć pewność jakiego takiego wynagrodzenia za swe trudy. Te złe stosunki są oddawna znane, wiadomo także powszechnie, że rząd, gdyby nawet chciał z własnej inicyatywy kolonizować, nie posiada już żadnych dobrze położonych i zupełnie urodzajnych gruntów, ponieważ rozdał je swym faworytom, niepoprawnym oligarchom, którzy najczęściej — jakkolwiek nie zawsze — zdradzają dążenie do kolonizowania, lecz naturalnie na swój sposób i wedle swego gustu. Na wzór rządu, który powstał z ich szeregów i stoi z nimi w blizkiej styczności, spekulują oni nie na wytworzenie klasy osiadłych, wolnych i niezaleznych małych posiadaczy rolnych, lecz na przypływ tak zwanych „brazos", a więc niewolników których wyzyskują pod każdym względem. Otóż proletaryusz europejski, przy przesiedleniu się swem do tego kraju, bynajmniej nie ma ochoty odgrywać roli parobka; wymagania jego są — rzecz słuszna — nieco wyższe. Skoro zaś po przybyciu swem do tak sławionej krainy musi się przekonać, że — mniejsza o to z jakiego powodu, za który przecież nie jego, lecz rząd należy czynić odpowiedzialnym — brak tu nawet utrzymania dla parobków, wtedy ogarnia go rozgoryczenie a skargi jego budzą echo w kraju ojczystym.

„Pozornie wszyscy ci kreolscy sztukmistrze rządowi wołają o imigracyę, czynią jednak bajecznie mało, aby wychodźców odpowiednio umieścić i stworzyć dla nich podstawy, na których mogliby sami pracować na swe powodzenie w spokoju i niezależności. Ci panowie od rządu wykraczają w wielu wypadkach przeciwko ścisłemu brzmieniu prawa., tj. nie dotrzymują koncesyonaryuszom swych gruntów obietnic, jakie im poczynili w kontraktach, stąd

też pochodzi, że liczni osiedleńcy od szeregu lat ciężkiej pracy na wydzierżawionym gruncie, którego wartość dla jakiego uprzywilejowanego spekulanta podwoili lub potroili, zostają naraz wypędzeni przez prosty „ukaz“ rządu, do czego sądownictwo chętnie dopomaga. Jeśli kolonista, który lata całe pracował i tworzył, nareszcie prosi nader skromnie o wystawienie mu przyobiecanego tytułu własności, powołując się na prawo, zbywa się go tutaj i nieraz doprowadza do rozpaczy wszelkiemi możliwemi szykanami i trudnościami“!...

Kat w Pradze.



Ogłoszenie sądów doraźnych. (Patrz „Nasze ryciny“).

Tak przedstawiają się stosunki w Argentynie dla tych, którzy idą tam szukać zarobków lub ziemi. Jak widzimy, obraz jest wcale smutny i niezachęcający. A rozmaici agenci chcą tam pchać ludzi!

KRONIKA.

Nasze ryciny. W Pradze skutkiem prowokacyjnego zachowania się Niemców, a gwałtownych wystąpień czeskich, przyszło do gwałtów ulicznych i nakoniec rząd zaprowadził sądy doraźne, aby grozą kary śmierci stłumić niepokoje. Wiadomo, że ostatnią przyczyną zajść był tz. „bummel“, tj. demonstracyjny spacer studentów niemieckich urządzany ciągle przez główną ulicę w Pradze, tz. Przykopy, aby pokazać, że Praga jednak nie jest czeskiem, tylko niemieckiem miastem.

Studenci niemieccy byli naiwni sądząc, że w ten sposób komukolwiek wytłómaczą, że niemieckiem jest miasto, gdzie Niemcy stanowią mniejszość. Niemniej urządzali te swoje spacery, prowokując co chwila ludność czeską, tak, że nakoniec nietylko przyszło do rozlicznych awantur i bójek ulicznych, lecz co gorsza, nad rozdrażnioną ludnością miejską zapanowali najradykalniejszy politycy czescy, zaczęli judzić i podburzać, wskutek czego przychodziło do coraz gorszych zajść ulicznych, zwłaszcza, że i niemieccy politycy ze swej strony dolewali obu rękoma oliwy do ognia. Nakoniec, jak przedstawia nasza rycina, ogłoszono w Pradze sądy doraźne. Okolica w której takie sądy ogłoszono, podlega rozlicznym ograniczeniom co do wolności prasy, zgromadzeń, itd. itd. Przedewszystkiem zaś każdy opór władzy i awantury uliczne sądzi osobny trybunał, złożony z trzech sędziów. Wyrok jest tylko jeden: „winny“, lub „niewinny“. W razie zasądzenia, trybunał zna tylko jedną karę: śmierci, wyrok jest wykonany najpóźniej w trzy godziny po wydaniu, apelacyi żadnej niema. Dopiero potem, jeżeli zapadnie kilka wyroków śmierci i zajdzie uspokojenie, dopiero wtedy trybunał w lżejszych wypadkach może skazać na kilkanaście lat ciężkiego więzienia. Sądy doraźne zapowiada się przy odgłosie trąb i bębnów, w asystencyi wojska, na placach publicznych, poczem rozlepia się ogłoszenia, że odtąd panują sądy doraźne. Rycina nasza wyobraża zapowiedź tę w Pradze, oraz czytanie plakatów przez przechodniów. Natychmiast po ogłoszeniu sądów doraźnych udał się do Pragi kat z Wiednia i zamieszkał tam. Na szczęście nie zaszła jeszcze potrzeba ani jednego wyroku.

Druga rycina nasza przedstawia miasto Kotor (Cattaro) w Dalmacyi, tak, że z gór, jakie je otaczają, mogą Czarnogórcy bombardować całą przestrzeń miasta i budowli portowych. Poustawiali też na tych górach działa, które mogłyby wielkie wyrządzić szkody. Kto wie, może rychło już nadejdą wiadomości, że Czarnogóra rozpoczęła bombardowanie...

Baczność, emigranci! Według doniesienia dzienników amerykańskich poniosły instytucye „Narodni Slovenski Spolek“ i firma bankowa „P. V. Rovnianet et Comp.“ w Pittsburgu, z któremi wielu wychodźców w Stanach Zjednoczonych Ameryki pozostaje w stosunkach pieniężnych, znaczne materyalne straty. Bliższych szczegółów w tym kierunku udziela osobom interesowanym starostwo lwowskie, względnie dyrekcya policyi we Lwowie.

Nowe szkoły. Rada szkolna krajowa zorganizowała nowe szkoły jednoklasowe w Kurnikach, w okr. zbarazkim, w Podzwierzyńcu, w okr. łańcuckim, w Kędzierzynce, w okr. wielickim, w Grzegorzówce, w okr. rzeszowskim, w Swoszowej, w okręgu jasielskim, w Rogożnicy, w okr. rzeszowskim, w Cierpiszu, w okr. rzeszowskim, w Pogwizdowie, w okr. rzeszowskim, w Żupawie, w okręgu tarnobrzeskim.

Rada szkolna krajowa postanowiła budowę dwuklasowych szkół: w Mętkowie, w okręgu chrzanowskim, w Sopotni małej, w okr. żywieckim, w Rakowcu, w okr. bohorodczańskim, w Dobrostanach, w okręgu gródeckim, trzyklasowej w Rauchersdorfie, w okr. niskim, oraz 5-cioklasowych szkół męskiej i żeńskiej w Komarnie, w okr. rudeckim, wszystkie przy pomocy zasiłku z funduszu szkolnego krajowego; przyznała gminie Petryłów w tłumackiem bezprocentową pożyczkę w kwocie 6.000 kor. na budowę szkoły.

Zagadkowa śmierć. Z Białej piszą: Tymi dniami przyprowadzono szupasem z Mor. Ostrawy do policyi w Białej 36-letniego Wiktora Malego, ażeby go stąd do Cięciny koło Żywca, gdzie jest przynależny, odprowadzić. Maly żalił się na osłabienie w nogach, więc wzięto mu fiakra, ażeby go odwieść do stacyi. Gdy powóz przed stacyą się zatrzymał, a Maly nie wysiadał, potrząsł nim policyant i przekonał się, że Maly nie żyje.

umarł podczas jazdy, czego jego towarzysz nie spostrzegł. Wdrożono śledztwo.

Nafta na Śląsku. *Dziennik Cieszyński* donosi, że w gminie Ostrawicy przy stacyi kolejowej Stare Hamry natrafiono w głębokości dwóch metrów na bogaty pokład nafty (ropy), wypływającej w 2 źródłach.

Zamówienia karabinów maszynowych. W austryackiej fabryce broni zamówił zarząd wojskowy austryacko-węgierski przed kilku tygodniami karabinów maszynowych za 1 milion koron. Obecnie zrobił zarząd wojskowy zamówienie znacznie większe, mianowicie zamówił karabinów maszynowych za trzy miliony koron. Donoszą o tem pisma wiedeńskie.

Aby konie nie kąsały. Pisma rolnicze niemieckie zalecają jako bardzo dobry następujący sposób dla odzwyczajenia koni od kąsania: Mocny kij rozłupuje się na końcu i między rozszczepione części wsadza się kawałek surowego mięsa. W chwili, kiedy koń chce kąsać, podsuwa mu się pod nos mięso, które koń chwyta ze złością i gryzie; ponieważ jednak jest to pokarm przeciwny jego naturze, przeto po kilkakrotnem użyciu takiego środka, odzwyczaja się od kąsania. Inni polecają podsunięcie koniowi w takich wypadkach gorącego buraka, który koń chwyta i parzy sobie język, wargi i podniebienie, a po parorazowem użyciu tego środka odzwyczaja się kąsać. Jeżeli te środki nie pomagają, nakłada się koniowi na pysk kaganiec, który zdejmuje się tylko do jedzenia.

W gości do Ameryki! W tych dniach otrzymała policya krakowska wiadomość, że w Chicago aresztowano na gorącym uczynku kradzieży z włamaniem, jakiegoś mężczyznę, który podał, że nazywa się Rudolf Deloges i pochodzi z Krakowa. Przy rewizyi w mieszkaniu włamywacza znalazła policja amerykańska wiele kosztowności, oraz złotej monety; dalej znaleziono listy z blankietami firmy: K. L. Lubieniecki, redaktor *Echa Ameryki*, z których wynika, że ów rzekomy Deloges podszywał się zapewne w celach oszukańczych pod miano „redaktora“. Policja krakowska, której przysłano fotografię włamywacza, stwierdziła, że jest to niejaki Karol Florkiewicz, znany tutejszym sądom złodziej, który niedawno dopiero opuścił mury więzienne w Wiśniczu, gdzie siedział 7 lat za kradzież z włamaniem. Ogółem Florkiewicz, który ma dopiero 45 lat, siedział z tego przeszło 20 lat w więzieniach galicyjskich. Z listów, które pisał do swoich „przyjaciół“ w Krakowie, żali się na Galicyę, której zasyła „przekleństwo“ i radzi swym przyjaciołom, by natychmiast przyjechali za Ocean. Nim jednak „przyjaciele“ ci mogli skorzystać z jego rady, Florkiewicz znalazł się w więzieniu.

NIPPON BANZAJ!*)

POWIEŚĆ Z DZIEJÓW WOJNY ROSYJSKO-JAPOŃSKIEJ.

66) (Ciąg dalszy).

— Aliso, biedna moja!

Skurczyła się całem ciałem jak małe niczem nie osłonione i rdzące od zimna dziecko, oczy jej zamgliły się bezdennym żalem, drobne usta ściągały się spazmatycznie jak przed nowym wybuchem płaczu.

— Aliso, biedna moja!

Zdawała się go nie słyszeć.

*) „Niech żyje Japonia!“

— I za co — zaczęłą szeptać — za co taki bezmiar kary! Za co ginę w taki okrutny, w taki haniebny sposób?! Czy moje życie naprawdę tak nic nie było warte, ażeby w podobny sposób zabijać je we mnie?!...

— Ależ, Aliso, żyjesz przecie i żyć będziesz!

Potrząsnęła głową.

— Nie! Wszak nie potrzebuję ci mówić, jak zemną postąpiono? I czy możesz sądzić, że po tem byłabym w stanie wyżyć?... Po tem, po tem wszystkiem!... Ach!...

Zakryła twarz rękami, drżała na całem ciele, jak wobec krwawego ubioru.

I naraz spojrzała na niego niemal gniewnie.

— Pocoś mnie szukał, pocoś mnie zabierał stamtąd? Dla czego nie pozwoliłeś mi skończyć tak, jak zwykle podobne istoty kończą?! Wszak nie co innego kierowało tobą, tylko litość, pospolita, zdawkowa, a bardziej od samej śmierci boląca litość. Dlaczego nie pozwoliłeś mi skonać?!...

Łagodnie pieszczotliwie wziął ją za rękę.

— Siostrzyczko droga moja! Ból fizyczny przeważa twoją istotę na stronę materyalną. I dlatego źle mówisz. Bo pomyśl tylko! Czy wobec tej zbro-

Czy będzie wojna?



Widok Kotoru. (Patrz „Nasze ryciny“).

dni, która wyłącznie ciało twe tylko na względzie miała i ciało tylko dotknęła, twoja biała, szlachetna duszyczka została zbrudzoną? Czy nawet rozkład, a nie tylko ból tej łupiny, w której czasowo przebywasz, ma się zaraz przenieść na to i zarazić to, co jedynie i wyłącznie stanowi twoją istotę, to jest duch twój?! O, Aliso, nie *ty* przez usta twoje w tej chwili przemawiasz!

Słuchała ze stopniowo rozszerzającemi się oczami, jak gdyby słowa te, które z jego ust padały, trącały w jej duszy jakieś znane, blizkie, a zardzewiałe przez czas struny.

W pewnym momencie spojrzała na niego żywiej pod wpływem jakiejś rodzącej się nagle myśli, otwarła usta.

Lecz nim pierwsze słowo wypadło, już je wyprzedził wybiegający na blade lica rumieniec, już ten głos, który nie zdołał jeszcze rozebrzmieć, zastygł i skonał w jej gardle.

Nagle jednak zdecydowała się i tylko szczelnie zakryła sobie twarz i oczy rękami.

— A... czy ty sam nie brzydziłbyś się mną teraz?

Skończyła i naciągnęła na twarz koc szpitalny.

Wzdrygnął się, jakdyby całe jego wnętrze wynicowało się nagle nazewnątrz. Przez mgnienie oka toczył z sobą straszliwą walkę. I naraz wyprostował się, spojrzał na nią jasnym, równym wzrokiem.

— Aliso, wierz mi, jesteś dla mnie teraz stokroć droższą, niż byłaś kiedykolwiek!

Nie odejmując rąk od twarzy, spojrzała na niego poprzez szpary palców. I widać było pomiędzy temi szparami płomienie jej lic i widać było brylanty łez na oczach.

Potem nagle pochwyciła jego rękę, wciągnęła ją pod koc do swej twarzy, i znów poczuł na tej ręce wilgotne dotknięcia ust, a jednocześnie gorąco łez rzęsistych.

Dusza jego topniała, jak poranna pomróż pod działaniem palących promieni słonecznych.

Odniósłszy nad sobą pierwsze zwycięstwo, czuł się teraz skłonym do dalszych, a jak najdalej idących ustępstw, jak kamień, raz oderwany od szczytu, doznaje skłonności do spadania ze wzrastającą szybkością w dół.

Nie odrywając ręki od jej swarzy, potrząsnął z pewną hardością głową.

— Ciało! I czemże jest w gruncie rzeczy ta nasza ziemska powłoka, to ciało, do którego niekiedy przywiązujemy tak wielką wagę?! Czyż naprawdę wartość twa wewnętrzna zmniejszyłaby się od tego, że naprzykład ciało twe zostałoby obsypane trądem? Niech-że ci się więc zdaje, że to wszystko nie czem innem było, jak tylko trądem, chwilową chorobą skórną, która wewnątrz nie przenika. Wnętrze twoje, ta twoja szlachetna dusza pozostała nie tkniętą, i nie masz prawa, Aliso, zatracać w sobie tego, co w tobie było i pozostało najpiękniejszem i nienaruszonem, nie masz prawa w rozpaczy za ciałem o duszy swej zapominać. Przeciwnie nawet! Teraz dopiero życie duchowe może i powinno rozwiązać się w tobie i wyrosnąć w cudny, zniczem nieporównany kwiat czystego ducha.

Rozkołysany własną deklamacyą rozgrzewał się, wlewał w to, co mówił, niekłamaną wiarę.

Nie patrząc na niego, słuchała z szeroko rozwartemi oczami i w oczach tych poczynały zwolna grać tęcze, jak żywy odblask niedawno minionego szczęścia, jak zapowiedź odradzającej się w młodem sercu niezłomnej nadziei i wiary.

— Aliso serce do ciebie mówię, przyjmij-że i ty sercem i opamiętaj się! Wszystko jeszcze przed tobą!!

Policzki jej zaróżowiły się lekkim rumieńcem, pochwyciła rękę jego w rozpalone dłonie.

— Drogi, wybrany mój, dzięki ci. Tak, czuję, że duszy swej nie powinnam zatracać.

— I spokojną będziesz? Przyrzekasz?

— Tak. Chcę wierzyć, że to wszystko, ten wypadek straszny...

Na moment głos załamał jej się w piersiach. Szybko jednak przemogła się, otrząsła występujące na oczach łzy.

— Wybacz, kochany, to się już nie powtórzy! Dziękuję ci, żeś mi przypomniał obowiązki wobec mojej duszy. Bo ja duszę zawsze żyć pragnęłam, i duszą pragnęłam dla świata pracować. Dotąd, niestety, nie uczyniłam jeszcze nic, wszystko stoi jeszcze przedemną niespełnionem. Ale do tego nie potrzeba siły ciała. I będę, będę spokojna.

— Pamiętaj-że, Aliso!

Spojrzał na nią przeciądle, jakdyby jeszcze wzrokiem chciał w nią przelać siłę swojej wiary. Lecz, niestety, poczuł nagle, że i w nim samym wiara ta nie ma żadnego trwałego fundamentu. Wyrosła z czegoś, co zwiennem było i nietrwałem, i oto teraz fantastyczna podstawa rozpłynęła się naraz, cały gmach, na niej zbudowany, zawisnął w powietrzu.

Wzdrygnął się wewnętrznie, jakby wnagłem poczuciu, że i on sam popełnił w tej chwili jakąś zbrodnię, i szybko odwrócił oczy.

— Pamiętaj! — powtórzył raz jeszcze, lecz to „pamiętaj“ — było już tylko jakby pierwszym lepszym tłumokiem towarowym, pochwyconym pośpiesznie i bez wyboru z całej ich kupy dla zatkania dziury, wybitej nagle w dnie okrętu.

— Pamiętaj!...

Skinął jej ręką na pożegnanie i odwrócił się celem wyślizgnięcia się niepostrzeżenie z sali, lecz już czyhały na niego dwie pary utkwionych w niego oczu — Czawczewadzego i Reitzensteina.

Przezwyciężając niechęć, zbliżył się ku nim.

Czawczewadze nie pytał, lecz pytanie, pełne trwogi śmiertelnej, leciało z jego oczu, zdawało się jak ostrze sondy wdzierać się do duszy Tyszki i trwożnie szukało tam decydującej odpowiedzi.

Tyszka skinął ku niemu głową.

— Będzie żyła!

Jasne błyskawice strzeliły z oczu Gruzina. Nie wyrzekł ani słowa, tylko zwrócił spojrzenia w kierunku wschodu, usta jego drżały bezdźwięcznie. Może w tej samej chwili zanosił modły dziękczynne do wielkiego Ałłaha.

Teraz przyszła kolei na Reitzensteina, który, trawiony gorączką zniecierpliwienia, uniósł się na łokciu i pochylił w stronę Tyszki, jakby w ten sposób chciał wybiegnąć na spotkanie odpowiedzi na udręczające go pytanie.

Tyszka spojrzał na niego przelotnie i odwrócił oczy.

— Tak! — wyrzekł cicho.

Reitzenstein siadł na pościeli.

— Co, więc tak?! tak?...

Nagle runął na znak, pierś jego gwałtownie zaczęła się rozdymać, jakby wzbierając burzą wewnętrzną.

— Nędzni! — wycharczał — nędzni! Ach, i sam nędznik!...

Przez chwilę przyglądał mu się w milczeniu, potem uścisnął mocno jego rękę i twardym, zdecydowanym krokiem zawrócił ku drzwiom.

Przechodząc koło Alisy, spojrzał jeszcze na nią.

Leżała na znak z szeroko rozwartemi pod zmarszczonem czołem oczami, lecz oczy te zdawały się nic nie widzieć, były jakby we mgle skąpane.

Na palcach podszedł ku niej, popatrzał moment i cicho wyszedł.

Na korytarzu za drzwiami układano właśnie na katafalk, zbity z paru desek nieheblowanych, przykryte białem prześcieradłem ciało Wiery.

U wezgłowia gorzało żółtym blaskiem parę świeczek woskowych, na stoliku leżał w skórę oprawny psałterz.

Młody lekarz stanął, patrzył się w nieruchomo rysujące się pod prześcieradłem już na wieki skamieniałe kształty, i w oczach jego zaświeciły łzy.

— Żegnaj, żołnierko miłości!

Z przeciwległych drzwi wyszedł pop, wytarł po drodze zatłuszczone świeżo spożytym obiadem usta, utarł wdzięcznie nos, westchnął z uciążliwością i, pośliniwszy palec, począł przewracać kartki psałterza.

Zmarłą sługę Twoją przyjmij, Panie, do chwały Twojej...

Tyszka obrócił się i ociężałym krokiem wyszedł.

Pierwsze dźwięki psalmu spadły na Alisę, jak kamień na znieruchomiałą toń wody. Poderwała się pierzchliwie, z przerażeniem otworzyła oczy.

Niepojętym biegiem rzeczy cały epizod z Wierą, ten epizod, który był początkie wszystkich, tak dla niej strasznych następstw, zupełnie wyleciał jej z głowy. I teraz wszystko to jednocześnie wtłoczyło jej się z powrotem do wiadomości.

— ...Do chwały Twojej!...

Więc to już tak, już jej nie ma, nie ma tej, dla której gorąca miłość jedyną wiarą była, która przez swą gorącą wiarę unieśmiertelnić miłość pragnęła.

— Zmarłej słudze Twojej racz wybaczyć, Panie! — mruczał po nieskończoną ilość razy nosowy głos popa.

Alisa słuchała ze straszliwym skupieniem tego niemilknącego głosu i zwolna zaczęła doznawać uczucia, że cała jej treść wewnętrzna, wszystek duch, wszystka krew i ciało wyparowuje z niej jak lotny zapach z odetkanej szklanej bańki, że staje się w sobie ciemną i zimną pustką, w którą, jak gęsta lgnąca ciecz, wsączają się te monotonne dźwięki hymnu pogrzebowego, po której ciężkiemi żółtawemi pasmami rozsnuwają się dymy kadzielne...

Tymczasem noc zapadła.

W sali zaświecono lampę, wszedł Tyszka, troskliwie pochylił się nad nią.

Nie zwróciła na niego uwagi, czy nie poznała go.

Teraz już z pod popiołów jej twarzy wykwitały rdzawe rumieńce, błękitne, nieruchomo utkwione w powałę oczy nalały się fosforycznym, gorącym, jak roztopiona lawina, blaskiem.

Szpitalna cisza...

A za oknami, wśród ciemnej nocy, jęczał ponuro stepowy wicher mandżurski, bił lodowemi skrzydłami w szpitalne ściany z wązkich bierwion, przez wązkie szczeliny wciskał się do środka.

Od chodzących po salach podmuchów płomyki lamp chwiały, ślizgały się żółtawemi smugami po szarych ścianach i po żółtych, jak wosk, potem zlanych twarzach rannych, zaglądały pierzchliwymi błyskami do ciemnych kątów. I w miarę wahania się tego światła gromnicznego z tych ciemnych kątów zdawały sie pomykać ku środkowi sali ciemne kosmate potwory, potwory z obłędnie biegającemi oczyma, dyszące grozą, gorączką przepojonych snów, czołgające się jak krwawe tygrysy po ziemi, by w stosownej chwili w jednym skoku ciężką zmorą siąść na piersiach upatrzonej ofiary...

Szpitalna cisza!...

A za ścianami z cienkich bierwion dął huraganem lodowy wicher mandżurski i na swych skrzydłach przynosił od strony miasta odgłosy nocnego życia.

A przed walną bitwą było...

Alisa leżała na swej pościeli w gorączkowem podnieceniu, z oczyma świecącemi jak karbunkuły i, jak trujące płyny w gąbkę, tak wsiąkały w nią te wszystkie upiorne widma szpitalne, i te wszystkie roztrzęsione przez burzę odgłosy.

Odbłyski tej pożogi, która płomiennym pierścieniem umysł jej ogarniała, już rozpalały się krwawemi łunami w jej szklących gorączką oczach.

Szczękała zębami i obzierała się dokoła dzikiem spojrzeniem. Te wszystkie odgłosy zdawały się rozlegać tuż za ścianą, niedawna przyszłość zaczęła w jej umyśle łączyć się w jedno z teraźniejszością. I nagle usłyszała:

> Hoc kalina, hoc malina,
> W las po jagody chodziła,
> Hoc, ka — a — li — na!...

Śpiew zdawał się rozlegać tuż, tuż, niby z ust pochylających się nad jej wezgłowiem. Alisa stanęła na swej pościeli, wyprężyła się, wyciągnęła przed siebie ręce, jakby odpychając zmorę.

I nagle przeciągnięty do ostatecznych granic struny nerwów pękły w niej.

Wzięła się rękami w boki, przysiadła na podgiętych kolanach i ze ściśniętego jej gardła runął na salę śmiech, śmiech, który przeniknął cały gmach szpitalny od strychów do suteren, który wszystkim jego mieszkańcom wlał się, jak wrząca oliwa pod skórę.

I śmiech ten był jako iskra, na beczkę prochu rzucona.

Chorzy pozrywali się ze swych łóżek z połyskującymi w oczach płomykami lęgnącego się obłędu.

A Alisa nie przestawała wyrzucać z piersi dźwięcznych kaskad oszalałego śmiechu, z przekrwionych jej oczu, jak sama krew żywa, tryskały promienne snopy oszalałej radości, życia, poczucia nieziemskiej szczęśliwości.

Zwinnym, lekkim ruchem zeskoczyła z pościeli, uniosła zlekka palcami szpitalną koszulę po bokach, jak baletnica spódnicę.

> Ja u ojca mego w pałacach, w pałacach,
> Ja u matki mojej w wysokich, w wysokich...

Nogi jej zapląsały po podłodze w miarowem tempie staroruskiego korowodu.

To był sygnał.

Jak zmięte liście, poderwane z ziemi nagłem podmuchem burzy, tak zerwali się ze swych łóżek chorzy, z oczyma żglącemi się purpurowymi błyskami obłędnego, pozbawionego wszelkich więźb wesela, z członkami, prężącymi się wnikającej w krew, oszalałej radości.

Kolepiąc się na prawo i lewo, prężąc się gibkiem ciałem, potrząsając sypkiem złotem pozpływających się po plecach lnianych włosów, Alisa wiodła pląs.

A za nią Reitzenstein w uścisku z pokrzykującym dziko, z gruzińska Czawczewadzem.

A za nimi w pojedynkę jakiś bezimienny żołnierz o płowej, zwisającej na rozelśnione oczy czuprynie, z odjętą po biodro jedną nogą, skaczący ucieszne na drugiej, jak wróbel, uwiązany na nitce, wybuchający ogromnem weselem na widok czarnej krwi, za każdem poruszeniem chlupiącej z pod węzłów bandaża.

A dalej jeszcze całe nieprzeliczone zastępy chorych, z podwiązanymi łbami, żebrami, rękami i nogami, podrygujące w drgawkach, czerpiące podnietę w ranach palących.

Rozwijając się, jak wąż olbrzymi, znacząc swe ślady ciężkiemi kroplami gorącej krwi, korowód wysypał się na korytarz, gdzie przykryta białym całunem, w chwiejnem świetle płomieni gromnicznych spoczywała Wiera. Pochwyciwszy jedną świece, Alisa zaczęła okrążać katafalk, zawodząc jak drużka pieśń weselną:

Pożegnaj ojca, pożegnaj matkę,
W mężowskie wkraczaj progi...

Korowód pękł i rozsypał się po zaułkach. Jedna grupa uczestników tego korowodu weseliła się radośnie, usiłując postawić Wierę naprzemian na głowie lub na nogach, część podparła plecami ściany, piejąc jak koguty, wyjąc po psiemu, miaucząc, skomląc, jakiś żołnierz w takt pieśni „Hoc, kalina!" uparcie trykał obandażowanym, okrwawionym łbem o ścianę, inny gorliwie w pocie czoła gromadził na jedną stertę sienniki, gazety, drzazgi smolnych szczap i usiłował to wszystko podpalić pochwyconą drugą świecą.

Na zgiełk i wrzask nieludzki zbiegli się chorzy z innych oddziałów, wpadali co moment przerażeni lekarze, sanitaryusze, pop, siostry miłosierdzia. I każdy z nowo przybywających przez krótką chwilę patrzał przerażonemi oczami na okropne widowisko, jak na wrzący kocioł ,w którym się trupy gotowały. Potem jakgdyby opar buchający z tego kotła zarażał swem tchnieniem, każdy kolejno wpadał sam w kipiący wrzątek masowego obłędu, stawał do korowodu, lazł z uciechy na ścianę, lub rozbijał sobie łeb pod działaniem nie utrzymanego już przez rozum na wodzy żrącego smutku.

Za innymi wbiegł i Tyszka.

Spojrzał i zdrętwiał.

Potem rzucił się do Alisy.

— Aliso, Aliso!!

Dygnęła przed nim zalotnie:

Ja po lubym tęsknię,
Ja po lubym płaczę,
Wróć do mnie, łzy zcałuj
Sokole — Kozacze!...

— Aliso! — wrzasnął jej z rozpaczą w ucho, jakby głosem pragnąc przebić oponę z grubych mroków, które jej umysł spowijały.

Łzy zcałuj, uściśnij,
Na szyi zawiśnij!...

W rozpaczy ścisnął sobie głowę rękami.

Czuł, że ten okropny, pochłaniający, jak płomienny wicher, obłęd masowy już i do niego podstępuje, już mu zaczyna szaleć w mózgu.

I w dzikiem przerażeniu, nie oglądając się po za siebie, zatykając sobie uszy, by nic nie słyszeć, rzucił się do ucieczki.

„Wróć do mnie, łzy zcałuj!..." rozlegał się za nim nie śpiew już, lecz krzyk spazmatyczny, krzyk, który — zdawało się — dobywał się z naderwanej piersi wraz ze spienionemi strugami żygającej krwi.

W dwóch susach zbiegł ze schodów, wywalił drzwi wchodowe.

Tego tylko było potrzeba oszalałej gromadzie.

Jak wykłębiające się przez raptownie otwarte okno duszne opary z łaźni, tak zaczął gromadnie buchać na zewnątrz rozszalały tłum, półnagie okrwawione, zziajane gromady nieszczęśliwców wysypały się na mróz z cichotem, z rykiem, ze śpiewami, parły się w ciemną noc, naprzeciw ryczącej, plującej mroźnemi szpilkami zawiei śnieżnej.

A jednocześnie starania nieszczęśliwca, usiłującego podpalić szpital, zostały nareszcie uwieńczone skutkiem. Nagromadzona sterta palnego materyału buchnęła jak beczka nafty.

Rozdmuchany wichrem pożar w okamgnieniu ogarnął cały szpital. Zatrzeszczały w ogniu cienkie deski ścian i smolne krokwie dachów, zaskwirczały smażące się ciała tych, którym nawet obłęd nie mógł wlać w żyły tyle sił, by mogli zwlec się ze swoich barłogów, purpurowe płomienie, parskające kłębami oślepiających skier, wiewające falistemi grzywami brunatnych dymów, jak stada rozszalałych rumaków pomknęły z wichrem w zawody.

Tyszka gnał przed siebie bez wytchnienia, bez opamiętania, czując, że i w jego żyłach krew pożarem się rozpala, że obłęd krwawy, obłęd o białkach wywróconych, w krok ściga za nim i na włosy lękiem zjeżone dłoń lodową kładzie.

Bez tchu, drżąc każdą kropelką krwi, wpadł jak burza do domu Łajkowa, impetem ciała wybił drzwi do celki, zajmowanej przez Okopowicza.

I cofnął się raptem, wstecz podał, jakby w całym impecie nagle łbem uderzył w poprzeczną futrynę.

Moment przeczuwał tylko, nie będąc jeszcze w stanie zdobyć się na rozumowanie.

Wpadająca przez wydarte okno struga mroźnych podmuchów, dopomogła myśli jego zwrócić się w należytym kierunku.

Gorączkowo namacał w kieszeni zapałki. potarł.

I wraz z kręgiem rzuconej na pokój jasności, odrazu rozjaśniło mu się w głowie.

Ta potłuszczona maszyna, porzucone bezładnie części odzieży, porozbijane sprzęty i kilka rdzawych plam na podłodze, pomogły mu odtworzyć sobie w umyśle scenę, która tu musiała się rozegrać.

Postał moment bez ruchu i bez myśli, jak wędrowiec, który w czarną noc, gdy zwalna burza ryczy nad głową, stracił naraz świadomość kierunku, w którym mu zdążać należało.

Potem wyszedł wolnym krokiem.

Był już blisko schodów, prowadzących na dół, gdy naraz jedne z bocznych drzwi otworzyły się, w smudze światła, które zewnątrz buchnęło, ukazała się głowa.

— Kiej tu czort! — odezwał się opryskliwy, niezadowolony głos, głos, który mógł należeć tylko do kogoś, czującego się tutaj gospodarzem.

Na Tyszkę dźwięk tego głosu podziałał tak, jak raptowne rozdarcie zasłony, skrywającej cel nieznany, a upragniony, do którego mu właśnie zdążać należało.

Szybciej, niż jakaś myśl mogła powstać, już uprzedził zamiary rzekomego gospodarza zatrzaśnięcia mu drzwi drzed nosem, wbił się formalnie jak klin między te drzwi i futrynę, w sekundzie już jedną ręką przygniatał napadniętego tak znienacka za kark do ziemi, drugą szukał w kieszeni nieodstępnego składanego noża.

Zwierkow, gdyż jemu to wpadł niefortunny pomysł zagarnięcia spuścizny po Jokodamie, wił się jak wąż pod tłoczącemi go kolanami.

Z początku próbował walczyć, sięgnął już nawet pazurami do gardła napastnika. Czując jednak przemagającą siłę, zmienił metodę.

— Doktorze! — wycharczał z pod kolana. — Com ci winien? Że uciekłem od tamtej? Bo jej nie kochałem, a fałszem się brzydzę. Doktorze, czyżbyś ty sam inaczej...

W tej chwili Tyszka dobył już nóż i zimny koniec ostrza wparł mu w dołek na karku w tem miejscu, gdzie się kończy kręgosłup.

Zwierkow zatrzepotał rękami, rozpłaszczył się na podłodze jak pusty worek.

— Doktorze na rany Chrystusa! Ja mam matkę staruszkę, pomyśl, może i ty sam... Aj!!...

Wrzasnął, gdyż w tem miejscu ostrze zagłębiło mu się nieco w skórę.

—Gadzie podły! — wycharczał Tyszka. — Na matkę się powołujesz! Wiedz że, za co masz zginąć. Matka moja w więzieniu szlisselburskiem przez ojca twego zhańbioną została. Za to ty mi zapłacisz!

Zwierkow rozpaczliwie zamachał ręką.

— Ojciec mój żyje, żyje jeszcze! — wybełkotał z błyskawicznym pośpiechem. — Dam jego adres, sam doprowadzę. Ależ za cóż ja? Na pamięć tej matki cię zaklinam!

Przekrzywił kurczowo głowę i ustami udało mu się dosięgnąć jednego z kolan Tyszki.

— Litości, przysiegam, że spełnię wszystko, jak pies wiernym ci będę!

Tyszka mocniej oparł dłoń na nożu, jednocześnie jednak zamyślił się.

Nagle wstał z obrzydzeniem.

— Nie! Za podły jesteś na to, bym cię miał zabijać!

Zwierkow nie czekał powtórzenia. Nie wyrzekłszy ani słowa, nie powstawszy nawet, pozbierał tylko pogniecione nieco członki i odrazu na raczkach śmignął za drzwi.

Nie troszcząc się więcej o niego, Tyszka siadł przy stole, na którym gorzała świeca, ujął czoło w obie dłonie i z bezładnej kupy złomków, które przez ostatnie kilka godzin nagromadziły się w jego głowie, próbował zlepić jakąś myśl.

Chwytał różne wątki, wiązał z mozołem, i znów ta cała robota, jak przegniła sieć, rozpełzała mu się pod plecami.

Wreszcie przekrwione od natężenia oczy zaczęły mu się przymykać pod zoranem bruzdami czołem.

„Wróć do mnie, łzy zcałuj..."

. . . .

Naraz uczuł na swych ramionach ciężary.

Podniósł sennie głowę i w tejże chwili zerwał się na równe nogi.

Pokój był napełniony żołnierzami, dwóch trzymało go mocno pod ramiona. Przed nim stała jakaś plugawa figura wojskowa z czerwonym nosem, w głębi drzwi mignęła dysząca nienawiścią i zemstą twarz Zwierkowa.

Pierwszym odruchem chciał się otrząsnąć z przytrzymujących go łap, zebrał wraz z tchem moc w piersi. Uświadomił sobie jednak bezcelowość wszelkich podobnych wysiłków i z chłodną rezygnacyą kiwnął głową.

— Ty! — przemówiła do niego plugawa figura. — Posądzony jesteś o knowanie spisku w armii. Wszyscy twoi wspólnicy są już wyłapani. Zawiśniesz razem z nimi.

(Ciąg dalszy nastąpi).

ODPOWIEDZI REDAKCYI.

F. C. i J. B. Ostrówek. Zapłacone na cały rok 1909. — M. U. Paczów. Otrzymane 4 kor. — K. J. P. Rząska. Zapłacone na cały rok 1909. — S. W. Brzoza stadnicka. Otrzymane za 2-gie półrocze. W opinii o sejmie wiele słusznego, tak jak w zdaniu o ustawie łowieckiej. Teraz ustawa łowiecka jest już taką, jaką ludowcy chcieli mieć. Trudno, trzeba godzić sprzeczne czasem interesy na pożytek ogółu! Możeby znalazła się dla nas jaka korespondencya? — Chętnie wydrukujemy. Za dobre słowo Bóg zapłać! Przewiel. X. L. M. Nowy Targ. 4 kor. otrzymane, adres zmienimy, dopłaty żadnej niema, dziękujemy bardzo. — F. K. Byszów. 2 kor. nadeszły, będziemy wysyłali regularnie. — J. S. Jasionka. 1 kor. nadeszła. — S. m. Ilkowice. 2 kor. nadeszły. Wysłane. — J. H. Brodła. 2 kor. otrzymane. — J. D. Deberle. 2 kor. nadeszły. Dziękujemy pięknie za życzenia. Nawzajem: Szczęść Boże! — J. S Nienadówka. Zapłacone na cały r. 1909. — J. B. Cholerzyn. Zapłacone za r. 1908. — S. D. Łysa Góra. Wysłane. O nowinki prosimy. — J. G. Grabiny. Dobrze. Wysłane, kalendarz po nadesłaniu przedpłaty wyślemy bardzo chętnie. Bóg zapłać! — J. S. Wierzbowa. Oczekujemy, za uwagi słuszne dziękujemy. — S. G. Steele. Szczęść Boże w podróży! Dziękujemy za dobre słowo. Gdy będzie adres, wyślemy zaraz. — A. G. Żabno. Chętnie. — M. S. Końkowce. Dobrze. — F. K. Halicka. Zmienione. — K. K. Frysztak. Dobrze. — P. N. Wygnanka. Wysłane. Prosimy jednak pamiętać o przedpłacie! — *„Rola"* będzie wychodzić bez zmiany. — F. S. Soboniowice. 4 kor. otrzymane.

Wydawcy: Dr. Jan Hupka i Jan Kaczak. Odpowiedzialny redaktor: Adolf Nowak.
Drukarnia W. Korneckiego i K. Wojnara w Krakowie pod zarządem Adolfa Nowaka.